

Biografia albo lądowanie na Księżycu

Na początku było wszystko, bo było się częścią nieposiadalnego kosmosu. Z czasem, gdy ręce nauczyły się być otwarte, zaczęło brakować wszystkiego.

Nie było szpitala. Nie było płaczu żadnej ze stron. Nie było wyłączności. Nie było wilgoci i przeciągów. Nie było wody w piwnicy. Nie było pustych ścian. Nie było trzeźwości wieczorami. Długo nie było chrztu. Nie było odpowiedniego kościoła. Nie było bosych stóp. Nie było daleko do Łazienek Królewskich ani do Pałacu Saskiego. Nie było wysoko. Nie było ciasno. Nie było echa na podwórzu. Nie było brudnych dzieci w okolicy. Nie było głodnych spojrzeń w stronę wystaw cukierniczych. Nie było nawet kluczyka do cukiernicy. Nie było skwarek w miodzie. Nie było ławki na końcu klasy. Nie było książek na pasku. Tylko przez tydzień nie było pianina. Nie było źle.

Nagle nie było wakacji nad morzem. Nagle nie było zajęć w szkole. Nagle nie było Zamku Królewskiego. Nagle nie było dojazdu na Muranów. Nagle nie było Żydów. Nie było chleba i butów. Niestety nie było jakiegokolwiek wody w piwnicy. Nie było już Kossaków na ścianach, etażerki i łóżka z metalową ramą. Nie było jak otworzyć beczki z miodem. Nie było w mieście miejsca dla ludzi. Nie było zbyt dużego gospodarstwa na wsi, a w chałupie nie było lanych szyb i podłogi. Nie było jak dawniej pokoju dziennego ani okrągłego stołu. Nie było też kompletu zastawy. Nie było czasu na naukę. Nie było Polaka, który nie wiedziałby, gdzie ukrywają się żydowskie dzieci. Nie było czasu na zbijanie trumien. Nie było dobrych Niemców, ale nie bywali oni bez czekolady i papierosów. Nie było kontaktu z braćmi, gdy nie było w pobliżu lasu. Nie było zamówień na czótenka ani kozaki. Nie dla wszystkich były pieniądze. Nie było po co wracać. Nie było sił, by patrzeć na zrujnowane miasto, na ogołoczone ściany. W rozprutej metalowej ramie łóżka zwisającego z ruin kamienicy nie było umówionej kartki z wiadomością, czy żyje i gdzie się ukrywa. Nie było żadnych punktów zaczepienia. Nie było nikogo znajomego w okolicy. Nie było już sklepu ojca na Chmielnej ani Pałacu Saskiego. Nie było kotów bez pcheł. Nie było dobrze.

Nie było w Warszawie dobrej szkoły, a jeśli nawet była, to nie było na nią pieniędzy. Nie było już szkatułki ze złotymi monetami na gorsze czasy. Nie było niczego więcej niż jedna bułka na cały dzień. Nie było matury i wymarzonej pracy w biurze. Nie było ratunku dla piersi mamy. Nie było niepijących mężczyzn. Ja akurat nie miałam pogrzebacza, a on nie miał tego dnia nic na obiad. Nie był taki zły. Nie było wyjścia. Nie było kościoła. Nie było białej sukni i obrączek. Nie było mnie rankiem następnego dnia obok, bo nie było człowieka, który wydawałby się ciekawszy od czytania książki na ławce pod Pałacem Kultury. Człowiek nie wybierał za Polskę Ludową, więc nie było wyjścia i nie można było się nie spakować i nie wyjechać, tam gdzie dawali pracę.

Nie było łatwo. W małym mieście nie było lekarza. Nie było jak czegoś załatwić bez mięsa czy słodyczy. Nie było badań. Nie było inkubatora. Nie było imion dwójki dzieci w dowodzie. Nie było po co tkwić w tych czterech ścianach. Nie warto było się zastanawiać, czy wracać.

Nie było imienin i sylwestra bez znajomych, bez wódki. Nie byłam duszą towarzystwa. Nie miałam szczerzej przyjaciółki. Nie wypadło jednak nie pojawiać się w towarzystwie, gdy nie było innej pracy niż praca w Służbie Bezpieczeństwa. Nie było dnia bez butelek koniaku i czekoladek. Nie było wyrzutów sumienia, szczególnie gdy nie było jeszcze „Solidarności”. W mrozy nie odpalał samochód. Nie było zbyt dobrego dojazdu do urzędu. Na przydział się jednak nie wybrzydzało. Nie wybraliśmy mieszkania na ósmym piętrze, bo wtedy często nie było prądu. Jak nie było mięsa, to nie obeszło się bez pieczarek ze śmietaną i chlebem. Powroty do domu bez psa nie były już tym samym.

Po latach nie było przeciwwskazań, by nie spróbować jeszcze raz, choć nie była owocem miłości. Nie chciała nikogo innego poza ojcem. Nie chciała się uczyć. Nie była obojętna na zaloty chłopców. Nie można było jej zatrzymać w domu. Nie było wyjścia, gdy zaszła w ciążę. Nie była dobrą żoną i matką. Nie mogłam usłyszeć od niej słowa prawdy. Nie była taka, jak bym chciała. Nie siadała przy mnie na łóżku, gdy tego potrzebowałam. Nie było nadziei na szklankę wody przy łóżku. Nie wychowałam dobrze dzieci, choć nie piją, nie kradną. Nie dzwonią. Nie proszę o to. Nie potrzebuję ich. Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Nie miałam jednak innej wizji. Nie mogłam żyć po swojemu, czyli nie żyć wcale. Nie obroniłam Polski Ludowej przed upadkiem. Nie żałuję.

Do dnia lądowania człowieka na Księżycu nie miałam wątpliwości co do istnienia Boga i Nieba. Nie było mi dane umrzeć przed 1969 rokiem. Od tego dnia nic nie miało sensu.